ROZMAITOŚCI.

Dnia 1. Marca. Nr 9. Roku 1854.

Rozbicie okrętu.

(Powiastka z niemieckiego.)

Mój ojciec trzymał znaczną dzierzawę w okolicy Glasgowa. Położenie jego nie było zbyt świetne, dozwalało atoli żyć bez troski i nam dzieciom swoim, dwóm synom i jednéj córce, dawać przyzwoite wychowanie. Nieraz mawiał do nas, że nie będzie szczędził wydatków na naszą naukę i wychowanie, lecz na późniéj niémamy się niczego spodziéwać. Gdym skończył rok pietnasty, nadarzyła mi się u pewnego kupca posada komisanta i buchaltera; nieszczęściem kupiec ten po trzech latach zwinął swój kantor, a ja zostałem bez widoków na przyszłość; więc nim los czém opatrzy, powróciłem tymczasem do domu rodziców, i Bogu dzięki nie długo byłem ciężarem.

Pewien kapitan okrętu, przyjaciel naszego domu, słysząc raz wieczór utyskiwania rodziców na moje położenie, rzekł do mnie w żarcie: „A cóż myślisz, Allanie, jakby ci się podobała wycieczka zemną do Stanów Zjednoczonych?“ — „Byłaby mi bardzo miłą,“ odrzekłem. — „W istocie? Więc przygotuj się, pojedziemy na przyszły tydzień do Nowego Yorku.“ — „Jeźli moi rodzice zezwolą, będę wnet gotów.“ Jakoż w istocie po krótkim namyśle i kilkudniowéj zwłoce otrzymałem ich pozwolenie, i stanąłem w sam czas na pokładzie okrętu, przygotowanego w Grenock do odjazdu.

Niebawem rozwinięto żagle i przy pomyślnym wietrze wypłynął nasz okręt na morze. Kapitan radził mi pozostać na pokładzie dla uniknienia słabości morskiéj, ale właściwie szło mu o to tylko, aby towarzystwo i nowe przedmioty rozprószyły moje smutne myśli. Mieliśmy dwunastu prawie pasażerów kajutowych i sześćdziesięciu przeszło na pokładzie, po największéj części biédnych górali szkockich i kilku tkaczy szukających za morzami zarobku.

Najbardziéj zaś zwracało uwagę moją na siebie jakieś stadło angielskie, odłączające się zupełnie od reszty podróżnych. Mąż stał oparty o maszt narożny, twarz blada, usta zaciśnięte, a skroń opiérał na dłoni. Żona siedziała na ławce tuląc do siebie dziesięcioletnią może córkę; nie płakała głośno, ale duże łzy sączyły się po jéj twarzy, a pierś wznosiła się gwałtownie, jak gdyby jéj

serce miało pęknąć z żalu. Co chwila odwracała się biédna, chcąc tym sposobem ukryć swój smutek, którego przytłumić niemogła. Przypatrywałem się jéj kilku nawrotami prawie dwie godzin. Wszyscy inni odzyskali pewny stopień odwagi; ona zaś, jeźli się cokolwiek uspokajała, po chwili znowu zaczynała płakać tém rzewniéj. Córka nie zdawała się pojmować cierpienia matki; ale widząc ją tak smutną, całowała bez ustanku i wołała rozrzewnionym głosem: „Niepłacz, kochana matko; niepłacz!“ Tyle tylko mogłem się dowiedziéć o téj rodzinie, że nosiła nazwisko: „Campbell“ i chowała pamięć szczęśliwych dni z przeszłości.

Okręt płynął rączo mijając zielone doliny Butei, kwieciste wzgórza Arranu i skaliste szkopuły Cantyry; Jura pokazała się po zachodzie słońca. Na drugi dzień minęliśmy północne wybrzeże Irlandyi, i ląd zniknął nam z oczu. Ja uległem tak silnéj słabości morskiéj, że dopiéro na trzeci dzień mogłem wyjść na pokład, i wtedy poraz piérwszy zachwycił mnie wspaniały widok niezmiernego Oceanu i fal pieniących się bez końca.

Co mnie w samotności pocieszało, że moi towarzysze podróży rzadko jak byli dobrani. Podług przyjętego zwyczaju nieobcują pasażery w kajutach wcale z pokładowymi, i w istocie dał mi kapitan, roszczący sobie rodzaj opieki nademną, dość wyraźnie do zrozumienia, że wszelka styczność z nimi byłaby niestosowną dla mnie. Ja jednak niemogłem oprzéć się pokusie, aby nie zabrać znajomości z wspomnioną już rodziną angielską; ale oboje, i mąż i żona, unikali widocznie mojego zbliżania, jak gdyby się obawiali, by nieprzeniknąć ich położenia. Zresztą przyjmowali mnie z największą grzecznością, i pomiędzy innemi pożyczyli mi nawet kilka książek. Córka ich była nierównie otwartsza i przystępniejsza dla towarzystwa; wiek sam ją znaglał do rozrywki, a na okręcie niemiała żadnego zajęcia i jednostajna podróż na morzu nienastręczała jéj żadnéj odmiany mogącéj rozerwać umysł dziécięcy, zdawała się zatém być rada, ile razy zbliżyłem się do niéj. Zapewnie cieszyli się i rodzice, że biédne dziécię znalazło jakąś rozrywkę, bo niepowściągali jéj wesołości, i wkrótce przepędzało dziéwczę większą część każdego dnia zemną. Kapitan marszczył z początku brwi na to, ale gdy spostrzegł, że mała Ketty była ulubienicą wszystkich, polubił ją wkrótce tak samo jak inni. Już sama jéj piękność musiała ujmować każdego; czoło miała wysokie i otwarte, usteczka pięknie zarąbione, z za których wyglądały dwa rzędy ząbków perłowych, a twarz owalna, któréj czysta, brunatna cera jaśniała wyrazem zdrowia; jéj długie, jedwabne włosy i wyraziste oczy połyskiwały czarnością hebanu, a długie, łuczaste brwi tego samego koloru nadawały jéj wzrokowi naprzemian łagodność gazeli i bystrość sokoła. Była dość mała na swój wiek, ale jak to często się zdarza u takich dzieci, dusza bardzo wcześnie rozwinięta; rozum miała tak bystry, a uwagi jéj

były tak trafne i oryginalne, że nieraz wszyscy pasażery kajutowi wypytywali ją o różne rzeczy i z ciekawością słuchali jéj odpowiedzi.

Byliśmy już dziesięć dni na morzu, gdy nagle zerwała się burza, i to tak gwałtowna, że przez trzy dni nieotwiérano okiennic w kajutach. Moja słabość się ponowiła, leżałem przez cały ten czas w łóżku; trzeciéj nocy uśmierzyły się wiatry, i zasnąłem twardo. Nazajutrz wstałem wcześnie, aby podług zwyczaju przechadzać się po pokładzie. Majtkowie byli zatrudnieni przy pompach, gdyż najlepszy nawet okręt wciąga nieco wody. Uderzało mię jednak, że wyciągana woda nie miała tego cuchnącego odoru, jakiego nabiéra zwykle na dnie okrętu. A ponieważ pompowanie to trwało dłużéj niż zwykle, spytał żartobliwie jeden z pasażerów:

— „Cóż, kapitanie, masz dużo wody w okręcie?“

— „Niestety“ — odrzekł kapitan bledinąc — „więcéj niż potrzeba — już cztéry stóp przeszło.“

— „Zawijajże na miłość Boga do najbliższéj zatoki!“

— „Ba! — gdyby ztąd nie o mil tysiąc;“ — rzekł kapitan ponurym głosem.

Przerażająca ta wiadomość rozbiegła się z szybkością błyskawicy, i w okamgnieniu otoczyli kapitana zatrwożeni podróżni, mężczyźni i kobiéty, i zarzucili tysiącem pytań.

— „Moi przyjaciele“ — rzekł kapitan poważnie — „musicie przygotować się na najgorsze. Jedną nadzieją naszą jest ciągłe pompowanie wody, i dlatego musi każdy z was pracować po kolei; tymczasem może Nieba zeszlą jaki okręt.“

Wezwania tego usłuchano natychmiast, i to tém chętniéj, że sam kapitan dawał najlepszy przykład pracując bardziéj niż pospolity majtek. Nasz okręt miał ładunek z suchych towarów, węgla i wyrobów z żelaza lanego, które jak mniemano, najbardziéj przyczyniły się do zepsucia okrętu, więc że woda przybywała ciągle, kazał kapitan pootwiérać luki i wszystko wyrzucać w morze dla ulekszenia okrętu. Można sobie wyobrazić, co mi się działo gdy przyszło ofiarować morzu moje szczupłe mienie; lecz żale przytłumiło wnet szybkie zbliżanie się niebezpieczeństwa.

Kapitan kazał przygotować łódź wielką. Jak tylko to spostrzeżono, spieszył każdy znosić szczątki zasobów swoich i niebawem był cały pokład okryty mnóstwem skrzyń, kufrów, pudełek, tłumoków a nawet klatek. Gdyśmy ciągnęli pompę, szepnął kapitan do mnie: „Zabierz co masz pieniędzy i zegarek, ale zaraz.“ Pospieszam za rozkazem na dół i zastaję już z niemałém przerażeniem na kilka cali wodę w kajucie; gdy wracam na górę, były już obie pompy nie do użytku i przybywająca coraz obficiéj woda udaremniała wszelkie usiłowania nasze.

Wtedy podzielił kapitan wszystkich pasażerów pokładowych na kilka grup, jak gdyby okrętowi niegroziło jeszcze zbyt blizkie niebezpieczeństwo. Gdy to uskutecznił, uważałem, że każdemu z pasażerów kajutowych szeptał coś po kolei do ucha. Większa część majtków

zebrała się w jednym kącie okrętu i objawiała nawet ową pogodną rezygnacyę, jaką odznacza się zwykle śród niebezpieczeństwa. Wreszcie przystąpił kapitan do mnie i szepnął: „Chodź za mną i pozostań przy mnie.“

Nagle spuszczono łódź na morze. Pasażery kajutowi i majtkowie rzucili się tłumem ku drabince i wnet powstał na okręcie okropny wrzask i powszechne zamieszanie. „Daléj — naprzód!“ — wołał kapitan na mnie. W téj chwili spostrzegłem państwo Campbell z ich małą córeczką i mimowolnie zacząłem się wahać. Pozostałych jeszcze kilku majtków wskoczyło do ciasnéj łodzi, któréj zaledwie niezalała woda, i troje ludzi pochłonęło morze w naszych oczach.

Łódź była połączona z okrętem długą liną, i ci, których zostawiono na pokładzie, próbowali kilkakrotnie przyciągnąć nas napowrót do siebie. Ale kapitan zapewnił ich, że pozostanie do ostatniéj chwili w pobliżu okrętu i będzie im pomagał ile możności; ale że natychmiast wypłynie na morze, jeźli nie będą w każdym względzie wypełniać jego rozkazów. Morze było znacznie wzburzone, a po czarnych zbiérających się chmurach można było słusznie obawiać się blizkiéj burzy, i na to nowe niebezpieczeństwo, zaczynałem już wątpić nawet czy nielepiéj było pozostać na pokładzie okrętu, niż powierzać życie takiéj kruchéj łodzi, przeładowanéj jeszcze tak dalece, że ledwie trzymała się na wodzie. Trwoga wzrastała, a oprócz tego wszyscy znużeni długą pracą, zaczęli powszechnie żalić się na nieznośne pragnienie. Lecz i w tém dotknęło nas nieszczęście, bo gdy otworzono ostatnią baryłkę którąśmy unieśli, pokazało się żeśmy w pośpiechu wzięli wódkę zamiast wody. Nowe ztąd powstały żale i krzyki; pan Campbell był jeszcze na pokładzie i posłyszał nasze narzekania, gdyż byliśmy tylko o pięćdziesiąt stóp oddaleni od okrętu, zbiegł w głąb i powrócił niebawem z małą baryłką, którą nam dorzucił. Z tego szczupłego zapasu obdzielono każdego ledwie po kilka kropel. Tymczasem morze się uspokajało i okręt trzymał się dość dobrze, więc zaczęła wracać nadzieja, i tuszono jak najpomyślniéj, gdyby opatrzność okręt jaki zesłała. Każdy też mierzył okiem po wodach czy nie wyśledzi gdzie statku.

W chwili, gdy łódź opuściła okręt, dobrali się sternik, kucharz i kilku innych sług okrętowych do spiżarni i gorących napojów i częstowali niemi obficie każdego. Maderę, szampany, bordaux i inne napoje przeznaczone dla pasażerów kajutowych, wypijano bez umiarkowania, tak, że większa część biesiadników wkrótce się popiła i swemi dzikiemi wrzaski i śpiewy powiększali okropność swego położenia.

W ciągu dnia byłem zanadto gnębiony pracą, abym mógł był myśléć o czém inném. Ale gdym już stanął w łodzi, przypomniała mi się Ketty Campbell i prosiłem kapitana, aby ją wziął z nami. — „Dziękuj Bogu, żeś sam ocalał“ — odrzekł sucho kapitan. „Czy myślisz, że rodzice rozłączyliby się z jedyném dziecięciem? — a zresztą niéma tu już

miejsca nawet i dla kota.“ Kilka razy przychodziło biédne dziécię na tę stronę okrętu i wyciągając drobne rączki, wołało błagającym głosem: „Weźcie mnie, weźcie mnie i ojca i matkę!“ Nikt nieodpowiadał. a wkońcu i ja odwróciłem oczy, aby niepatrzéć na to cierpienie, któremu zaradzić niemogłem.

Za nadejściem nocy kazał kapitan przydłużyć linę i postawił jednego majtka z toporem u zakrętu łodzi, ażeby w razie gdy okręt tonąć będzie, przeciął zaraz linę. Powietrze było dość spokojne i przy mojém znużeniu byłbym usnął natychmiast, gdyby nie dojmujące zimno, które w naszym stanie rozdrażnienia w dwójnasób nam się czuć dawało. Aby się ograć cokolwiek, skupiliśmy się ile możności jak najcieśniéj, i tak stojąc przeczekaliśmy do rania. Przez całą, niezmiernie długą noc dolatywały nas z okrętu ciągłe krzyki, śpiewy, tańce, bezbożne klątwy, kłótnie, bitki i śmiechy pijańskie.

Ze świtem ustały wiatry i uspokojone morze połyskiwało jak krzyształ; na zachodzie walczyły jeszcze cienie nocy z zorzą poranną, ale na wschodzie jaśniał biały smug, zarąbiony różowém światłem, które odbijając się w szérokiém zwierciedle morza rumieniło jego fale i wiszące nad niemi mgliste obłoki. Wreszcie wzniosło się słońce w całym swym promiennym, majestatycznym blasku. Na środku morza kołysał się nasz okręt z swemi białemi żaglami zwisającemi posępnie po masztach. Jakżeżto prędko oswaja się umysł ludzki z ciągłem niebezpieczeństwem! Widząc że morze było spokojne i okręt płynął jeszcze, niestraciliśmy całkiem nadziei ani my ani nasi opuszczeni towarzysze podróży; i ja sam widząc dokoła młode, zdrowe twarze i przypatrując się wspaniałemu dramatowi natury, ani przeczuwać mogłem żeby tak blizka śmierć nam groziła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Kasper.

Podkopując ich zamężcie,
Na wieki-ś im zniszczył szczęście.

Hrabia.

Pocóż mam wznawiać obrazy,
Jak przez wymowne milczenie,
Powtarzane tyle razy
Zagłuszyłem jéj sumienie;
Lub jak za męża plecami
Klęcząc błagałem ze łzami,
Aż nakońcu rozczulona
Prośb mych wysłuchała ona.

Kasper.

Kobiéta słaba istota.

Hrabia.

Ona tak czysta jak cnota,
Na mnie wszelkie ciężą winy,
A odwieczny sędzia w niebie

Nas wszystkich sędzia jedyny,
Ja łaskawie będzie sądził,
Mnie on odepchnie od siebie,
Bo ja tu tylko pobłądził
Knując zdradne przedsięwzięcie.

Kasper.

Kończ, więc kończ!

Hrabia.

A jéj mąż święcie
Pełnił prawo gościnności.
W zaufaniu, bez zazdrości
Żadnéj zdrady nie miarkował;
Nie czuł, iż przez przyjaźń zdradnę
Ja mu jego miłość kradnę;
Nieprzeczuwał przyszłą mękę
Gdy nas widział ręka w rękę,
W zaufaniu nas całował.

Kasper.

Jak mój Ulrych.

Hrabia.

Gdy tak bawię
W domu mego przyjaciela,
Jakby na nieszczęście prawie
List od brata przybył gońcem,
Który mu tę wieść udziela
Iż mu żona córkę dała,
Ale życie postradała.

Kasper.

Boże! truchleję przed końcem.

Hrabia.

Aby ulżyć bratu w męce,
Przyjaciel wyjeżdża z domu
Poleciwszy w moje ręce
W zaufaniu jak nikomu
Co miał najdroższego w życiu:
Żonę i syna w powiciu.
Matyldy po siostrze żałość,
Która jéj tak drogą była
Zachwiała jéj cnoty stałość,
Mnie jéj serce otworzyła.
I gdy brat przy trumnie żony
Ściska brata rozczulony,
To ja w przyjaciela domu
Zimniéj, niż śmierć — pokryjomu
Niszczę mu szczęście na wieki;
Zatruwam mu całe życie,
Uwodząc gdzieś w świat daleki
Kochaną żonę i dziécię.

Kasper.

Żonę — dziécię — Wielki Boże
Przebacz, to on! Wasze miano?

Hrabia.

Podówczas mnie nazywano
Hrabią Holm.

Kasper. *(odwraca się).*

Holm! panie świata,
Mamże tutaj być za kata? —
Nie, Tyś wyrzekł ojcze w niebie
Iż zemsta za ludzkie winy
Należy tylko do ciebie.

Hrabia.

Nie odwracaj się odemnie
Jakbyś mój wyrok jedyny
Chciał wymówić potajemnie!

Kasper.

Serce pęka! — Lecz cóż daléj?

Hrabia.

Na okręt wśród morskich fali
Uszedłem z dobyczą drogą!
By serce ojca mniéj srogo
Podstępem moim zakrwawić,
Chciałem mu syna zostawić —
Ale Matylda płakała,
Zostawić syna nie chciała;
Aby przyjaciel zdradzony
Wśród nieszczęścia i boleści
Nim-by ze gniewu ochłonął,
Nieścigał nas w różne strony,
Rozsiałem fałszywe wieści,
Iż okręt z nami zatonął.

Kasper.

Dobrze poradziłeś sobie,
Bo daleko lepiéj w grobie
Opłakiwać tych co zmarli,
Niżeli godzić na życie
Zdrajców tych, którzy nam skrycie
Lub jawnie szczęście wydarli.
Cudzego szczęścia zdobycze
Jakież wam dały słodycze?

Hrabia.

Gorzkiéj trucizny nie mało —
Choć nas gniotło winy brzemię
Szczęśliwie się żeglowało
I na nową wolną ziemię
Razem z nią wstąpiłem śmiało;
Przybrawszy obce nazwisko,
Niewolników, ziemi wiele
Nakupiłem — Przyjaciele
Co mnie otaczali blisko,
Co mnie niby lepiéj znali
Szczęśliwym mnie nazywali.
Ale od ucieczki chwili,
Choć przeciąg czasu nie mały,
Któryśmy razem przeżyli,
Skończył się nasz sen uroczy;
Nasze usta zaniemiały,
Zesmutniały nasze oczy,
A wszystkie miłe wrażenia
Zagłuszył odgłos sumienia.
Człeku, tobie tajemnica
Jak sumienie w piersiach dzwoni,
Że jak trupie stają lica,
Że aż sen od powiek stroni,
Jeźli z przeszłości wspomnienia
Niéma czystego sumienia. —
Ośmnaście lat w niedoli
Mimo wzajemnéj miłości,
Bez pociechy, bez radości,
Przeminęło tak powoli —
Bo i czas stłumić nie zdołał
Głosu, co wewnętrznie wołał;
Syn przyjaciela jedyny
Porwany mu przez nas skrycie,
Niewiedząc naszéj przewiny
Błogo przepędzał swe życie
I wzrósł w dzielnego młodziana,
Któremu dusza ognista
Równie pobożna jak czysta,
Od Boga była nadana.
On tylko zaświadczyć może
Przed ludźmi i Tobą Boże,
Iż mu wiernie ojcem byłem,
I niczego nieszczędziłem
Co go uszczęśliwić zdoła;
Przeto głos w mém sercu woła,
Iż za me o nim staranie
Przebaczono — mi zostanie.

Kasper.

Ależ ojciec całe życie —
Nie miał téj lubéj pociechy
Mieć przy sobie swoje dziécię,
Dzielić z nim łzy i uśmiechy.

Hrabia.

Wszakże mu syna oddaję;
Sam chcę od niego uciekać
Gdzieś daleko w obce kraje,
By samotnie grobu czekać.
Samotnie, bez niéj i syna,
Lecz niech on mnie nie przeklina.

Kasper.

A więc Walter, jest to dziécię?

Hrabia.

Tak jest!

Kasper.

Boże jakże skrycie
Wiodą twe drogi do celu.
Dzięki, — iż po latach wielu
Wracasz znowu ojcu syna.

Hrabia.

Ale wróćmy się do treści
Przerwanéj wprzódy powieści.
Wówczas Matylda kochana,
Na śmiertelnéj już pościeli,
Niemocą wielką złamana
Na najświętsze mnie zaklina
I wymaga na mnie słowo:
Iż, jeżeli będzie zdrową,
Abyśmy okręt najęli,
Do Europy wrócili
I jéj męża odszukali,
Jemu się do nóg rzucili
I przebaczenia błagali.
Obiecałem, a z sumienia
Spadły cetnary kamienia.
Lecz Matyldy wyzdrowienie
Zaczęło się wciąż przewlekać,
Wziąłem więc postanowienie
I chwili dłużéj nie czekać,
Synowi wyznałem śmiało
Wszystko, co się tylko stało,

W jegom ręce oddał święcie
Pojednania przedsięwzięcie,
A on z radością młodziana
Przyjął na się to wezwanie;
Szybko odbył pożegnanie
Aby popłynąć na morze.
Lecz tęsknota niesłychana
Nas dręczyła w każdéj porze;
Nie czekając wiadomości
Mimo Matyldy słabości,
Ażeby męczarnie skrócić,
Nazad do Europy wrócić
Postanowiliśmy święcie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Pierre Savoy czyli Malarz i Lord.

Pierre Savoy, portrecista z 17 wieku, urodził się z talentem i z zwykłą artystom przywarą: „tracić więcéj niż zarabiać;“ w niedostatku wysuwał się ze stolicy na prowincyę, i z miasteczka do wioski gonił za Muzą, a gdzie się uśmiechnęła, przyczekał i portretował tu za pieniądze tam za strawę, w przekonaniu że niedostatek uczciwości nie uwłacza. Najczęściéj rozstawiał paletę po domach gościnnych którędy szlak szedł cudzoziemcom, lub gdzie wesołość sprowadzała gości, a szczególnie gdzie dobra kuchnia była.

Ufny szczęściu nie żałował sobie; wydarzało się wprawdzie że miejscami po tygodniu przesiadywał, nim go los obdarzył ulubieńcem osoby własnéj, który go okupił, ucierpiał ztąd zgryzoty nie mało, przynajmniéj że uczciwość nigdy nie ucierpiała, bo Savoy miał serce prawe, a geniusz nigdy bez wiary, kunszt — mawiał — wybawić mię musi, i wybawiał. Opatrzność zawsze naprowadzała w porę hojnych miłośników twarzyczki swojéj, i artysta ocalał.

Raz bawił w La Grenouille wiosce małéj na trakcie do Paryża; cały miesiąc bawił a zarobku nie było za grosz. W całym obrębie nie było ani córki zakochanéj, ani żony zalotnéj, sami ludzie stateczni, cenili cielę i krowę, ale malarstwa im na co kiedy im pan Bóg sam malował dzieci, stryjów, wujów i ciotki.

Otóż w takiém nieczułém miejscu zaskoczył los artystę, sądny dzień zbliżał się, już trzymał kartę oberżysty w ręku z groźbą: zapłata albo więzienie; gdy w tém zajeżdża przed hotel powóz czworoprzężny, a z niego wysiada postać męzka olbrzymia, wprawdzie nie na wzrost ale na opas. Wnosił ztąd Savoy że ją trzos odyma, więc wróżył pomyślnie; i nie tracąc czasu prosi o wstęp, oświadcza swoje usługi Lordowi, gdyż to był istotnie przejezdny Lord. Ale jakież było mu zmartwienie, gdy w chwili najgorętszego przełożenia usług swoich Anglika spleen porywa, stał zimny jak głaz i nie było sposobu wyżebrać słówka ani przychylnéj odpowiedzi; co gorsza że jak się zanosiło, miał po popasie zaraz odjeżdżać; tyle jedynie pozostawało nadziei, że może wkrótce paroksyzm przeminie, a z nim powróci zamiłowanie do swojéj osoby, — chcę mówić do kunsztu.

Zadumany przechadza się popod okna lordowskie, wreście by go snadniéj dopatrzyć, staje naprzeciw w warstacie jakiegoś krawca, wytrzęsa przed nim swe żale, a oka nie spuszcza z okien chcąc dopatrzyć jaki stan zdrowia Lorda. Musiało mu być lepiéj, bo dla ochłody lub oddechu po spleenie otworzył okno, i stanął jak posąg, ani się ruszał, czoło zachmurzone, oczy jak w zachwyceniu, ręce na krzyż, a ziewał co pięć minut.

Na genialny pomysł wpada malarz; wydobywa kartę swego gospodarza, i na odwrotnéj stronie rysuje naprędce Lorda jakim go widzi w oknie i daje podpis: „lube gwiney, przeklęty spleen!“ przytém dodaje swój własny portret jak patrzy na kartę, wynędzniały i w rozpaczy i napis: „koza albo pieniądze.“

Nim zaprzęgli wykończył wszystko, i w pięć minut usłużny pokojowiec wręczył Lordowi rysunek z przymówką że jest na sprzedaż za cenę tego, co na odwrotnéj stronie.

Lord zachodził się ze śmiechu, gdy zobaczył siebie jak z oka wykroił, a malarza jak ulał, jeszcze na karcie gdzie na odwrotnéj stronie rachunek był gospodarza za cztery tygodnie pobytu w oberży. Jego lordowska Mość uznał talent genialny, wykupił nietylko malarza ale dał jeszcze zadatek na sześć podobnych kopii, ażeby je porozsyłać na pamiątkę znajomym, dla pokazania jakim wygląda kiedy go spleen ominie.

Poczciwy malarz dziękował Bogu za pomysł — lordowi za pieniądze — wynagrodził krawcowi, gospodarza opłacił, i nie ruszył się z miejsca aż kopie pokończył i pieniądze przepuścił.

Rzeczna woda niesie na jedną stopę kubiczną 28 gran stałéj masy; ztąd tyle namułu po brzegach.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*